

SYLVIE
SIMMONS

Serge Gainsbourg



PIERWSZA W POLSCE BIOGRAFIA
GENIALNEGO I KONTROWERSYJNEGO AUTORA PIOSENEK I SKANDALI



„To obrzydliwe!”. Perfekcyjnie ufryzowana matrona z równie perfekcyjnie ufryzowanym minipieskiem przepycha się koło mnie. Przystanęłam właśnie na wąskim chodniku, by sfotografować odradzającą się wciąż na nowo galerię sztuki przed posesją przy rue de Verneuil nr 5. W geście solidarności ze swoją panią karłowaty zwierzak zadziera małą czarną nóżkę i strzyka siuškami na zarośniętą twarz, którą ktoś z czułością namalował na wolnym kawałku ściany, tuż nad ziemią. Mieszkańcy tej szanującej się ulicy w paryskiej dzielnicy Saint-Germain, rzut kamieniem od Sekwany – tutaj w sklepach na rogu sprzedaje się dzieła starych mistrzów i niewiarygodnie drogie antyki – dopiero co, przed miesiącem, zapłacili za oczyszczenie i odmalowanie ścian, a już ktoś zakradł się nocą i sprayem wyznaczył początek kolejnej rundy.

Dziesięć lat po śmierci Serge’a Gainsbourga palimpsest malunków i graffiti pokrywający każdy milimetr jego małego, dwupiętrowego domu żyje własnym życiem; ma nawet własną stronę internetową i wydawnictwo albumowe. Mieszkanina kolorów, stylów i języków... Tu przesłania miłości sąsiadują z kalamburami i wierszami, karykatury artystów z realistycznymi portretami i grafikami fallicznymi, a debata metafizyczna dotycząca wiarygodności przeprowadzonego przez

Einsteina dowodu istnienia duszy po śmierci kończy się wnioskiem, że Serge wciąż żyje, wstąpił do nieba, gdzie siedzi po prawicy Boga Palaczy Haszyszu. Gainsbourg niewątpliwie czułby się tu jak w domu. Bo przecież to jest jego dom.

Kiedy umarł tutaj w swojej sypialni drugiego marca 1991 roku, miesiąc przed sześćdziesiątymi trzecimi urodzinami, Francję ogarnęła żałoba. Brigitte Bardot, która z nim sypiała, wygłosiła mowę pogrzebową. Prezydent Mitterrand, który z nim nie sypiał, też wygłosił mowę pogrzebową. Był „naszym Baudelaire’em, naszym Apollinaire’em – tak powiedział. – Podniósł piosenkę do rangi sztuki”. Flagi opuszczono do połowy masztów – choć był to hołd mniej odpowiedni dla priapicznego geniusza popu niż butelki whisky i anyżówki oraz paczki gitané’ów, zostawiane mu przez tłumy, które napierały potężną falą na policyjne barykady wzniesione wokół rue de Verneuil. Podobnie żegnano chyba tylko księżną Dianę.

„Spytaj kogokolwiek w Paryżu – mówił Nicolas Godin z francuskiego duetu Air – a okaże się, że pamięta, co robił w chwili, gdy się dowiedział o śmierci Gainsbourga. Wszyscy przeżyli szok. Bo Gainsbourg był zawsze, był częścią kultury. Ciągłe robił coś szalonego w telewizji. Był poetą. Był punkiem. I chciał zerznąć Whitney Houston”.

Człowiek, który wyglądał jak wytworny żółw skrzyżowany z wyjątkowo podejrzany, kopącym jak komin wilkiem, był także piosenkarzem, tekściarzem, kompozytorem nowatorskiej muzyki filmowej, zwycięzcą Konkursu Piosenki Eurowizji, powieściopisarzem, fotografem, aktorem, artystą, pijakiem, reżyserem, scenarzystą, populistą, prowokatorem, sentymentalistą, błaznem, kochankiem, intelektualistą i osobą, która w pojedynkę wyzwoliła francuski pop. Pomimo niezwykle zamiłowania do papierosów, alkoholu, zmysłowości i prowokacji (niesławne „Chcę cię zerznąć”, skierowane przez wówczas pięćdziesięciosześcioletniego, kaprawego Gainsbourga do

Whitney, goszczącej wraz z nim w programie, wypowiedziane na żywo, w prime-timie, w rewii familijnej, to właśnie efekt połączenia wszystkich czterech słabości) – a może ze względu na to zamiłowanie – owoce jego trzydziestoletniej twórczości muzycznej są imponujące. Obejmowała style tak różnorodne, że przy Gainsbourgu David Bowie sprawia wrażenie pogrążonego w zastoju – a dokładniej muzykę klasyczną, *chanson*, jazz, girl-pop, rock, reggae, disco, rap – i świadczyła o ogromnej wiedzy artysty na temat tradycji oraz o szacunku dla niej. Gainsbourg pokazywał tej tradycji środkowy palec, zaraz jednak wykorzystywał ją do stworzenia czegoś całkowicie wyjątkowego.

Jego teksty to trudne do ogarnięcia ćwiczenia w wieloznacznej potocznej francuszczyźnie pełnej licznych zapożyczeń z angielskiego i w rytmicznej, onomatopeicznej perkusji słownej. Literaturę, koprofagię, obsesję seksualną, pierdzenie, kazirodztwo, filozofię, gramatykę, warzywa, nazistowskie obozy zagłady i katastrofę „Torrey Canyon” postrzegał jako absolutnie sensowne tematy piosenek – piosenek zarówno gwizdanych na ulicy, jak i drukowanych w tomikach poezji czy analizowanych na uniwersytetach. A jednak po brytyjskiej stronie La Manche Gainsbourg był w zasadzie znany z jednej tylko piosenki. Tej z 1969 roku, śpiewanej z angielską aktorką Jane Birkin: *Je t’aime, moi non plus*. Jak napisał Robert Chalmers w „The Independent”: „Gainsbourg był naznaczony cechą, która na drodze do statusu gwiazdy rocka okazała się potężniejszą przeszkodą niż bycie ślepy, głuchym na tony czy martwym, najfatalniejszą ze wszystkich: był Francuzem”.

Brytyjskie uprzedzenia do francuskiej muzyki popularnej – równie głębokie i stałe jak francuskie uprzedzenia do brytyjskiej kuchni – wyrastają ze swingujących lat sześćdziesiątych, kiedy my mieliśmy The Beatles, Stonesów i krewetki, a Francja miała (a przynajmniej nam się wydawało, że tak jest) Sachę Distela, Jeanine Deckers i *pâté*

de foie gras. To komunał, niestety, z którego wielu brytyjskim dziennikarzom muzycznym trudno się było otrząsnąć. (Wystarczy spojrzeć na nekrolog Gainsbourga w „The Guardian”: „Miał typowo francuskie wyczucie dla rocka: był w tym beznadziejny”).

Słyniemy ze swojej nieznajomości języków obcych, i to oczywiście pogarsza sytuację, ale większą przeszkodą są różnice dzielące nasze kultury i zdecydowanie inna ocena, co jest *cool*, a co nie. Międzynarodowy biznes muzyczny, zdominowany przez kraje anglojęzyczne, dokonując marketingowego szturmów nowych mód i dźwięków, wprowadza niezwykle precyzyjne, a przy tym zmieniające się nieustannie rozumienie pojęcia *cool*. Funkcjonując poza tymi wyznacznikami, Gainsbourg nie miał wprawdzie dostępu do szerokiej anglojęzycznej widowni, ale jako outsider, ignorując powszechnie przyjęte normy *cool*, mógł robić, co mu się podoba, a przy okazji stworzył fascynujące dzieła. A wielbiciele muzyki w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych wreszcie zaczynają je odkrywać.

Odkrycie na nowo i popularność Gainsbourga w ciągu minionych dziesięciu czy piętnastu lat to zasługa Jimmy’ego Sommerville’a, Micka Harveya, St Etienne, Stereolabu, Momusa, Black Grape, Sonic Youth, Lusciousa Jacksona i Divine Comedy, aż po kiczowate *easy listening*, trafiające do młodej widowni. I dalej jeszcze, to efekt udanych komercyjnie przedsięwzięć Pulp, Suede i Becka, którzy przekazali pałeczkę współczesnym twórcom muzyki dance (w niej francuski tekst nie stanowi problemu, jest po prostu kolejną strukturą i dźwiękiem do zsąmpłowania) w rodzaju Davida Holmesa, Mirwaisa czy Air. Przy czym francuscy artyści Mirwais oraz duet Air są gwiazdami w Wielkiej Brytanii. Doprawdy, czasy się zmieniają. A w niedawnym artykule w magazynie „Q” pod tytułem *100 największych gwiazd XX wieku* Serge – jedyny obecny na liście francuski artysta – zajął pozycję osiemdziesiątą ósmą, wyżej od Damona Albarna z Blur. „Serge

Gainsbourg to we Francji człowiek instytucja – napisał David Quantick. – Ten fakt budzi w nas wielki szacunek dla Francuzów”. W pełni dzieliłam tę opinię.

Kiedy pisałam tę książkę, brnąc na oślep przez Paryż w niebieskiej mgłę dymu gitane’ów i próbując znaleźć drogę przez pole minowe francuskiego popu i francuskiej kultury, nieocenioną pomoc otrzymałam od wielu francuskich pisarzy, muzyków, producentów i serżologów, którzy stawali na głowie, żeby mnie poprowadzić we właściwym kierunku. Specjalne podziękowania składam Jane Birkin, aktorce, piosenkarce, dramatopisarce i w swoim czasie partnerce Serge’a. Mimo że przez trzydzieści lat brytyjska prasa racyła ją wyłącznie pytaniami typu „Co tam sprośnego nagrałaś, Jane?”, zaprosiła mnie do domu, podała filiżankę herbaty, najlepszej, jaką piłam w Paryżu, i przez wiele godzin szczegółowo opowiadała o życiu i pracy Gainsbourga.

Podziękowania kieruję także do Philippe’a Lerichomme’a, słynnego producenta muzycznego, znanego ze skromności „Człowieka w cieniu”, jak nazwał go Gainsbourg w jednej ze swoich piosenek, który zgodził się na wywiad o swoim starym przyjacielu, choć rzadko mu się to zdarza. „Francuscy żurnaliści w kółko mnie prosili o rozmowę o Serge’u, a ja zawsze odmawiałem – oznajmił. – Ale jeśli dzięki temu on zyska w Anglii należny mu szacunek, to *d’accord*”. Dominique Blanc-Francard, dawny inżynier studia Serge’a, dostarczył mi ważnych informacji o praktykach nagraniowych Gainsbourga; François Ravard, przyjaciel Serge’a i producent jego ostatniego filmu *Stan the Flasher*, opowiedział kilka świetnych historii o Gainsbourgu filmowcu, artyście i *homo aestheticus*; a Nicolas Godin z Air i Françoise Hardy pomogli mi przeanalizować w szerszym kontekście wpływ Serge’a na dwa pokolenia francuskich muzyków pop.

Odpowiedzi na nieskończone pytania o obce mieszkankę Londynu nazwiska i miejsca, na które się natknęłam w czasie swoich badań, otrzymałam od kolekcjonera płyt winylowych Daniela Vandela; prezentera telewizyjnego i dziennikarza Laurence'a Romance'a; serżologa Daniela Vanderdonckta; pisarza i producenta Jeanna-William Thoury'ego; Philippe'a Thieyre'a ze świetnej paryskiej księgarni Parallèle i od Serge'a Vincendeta ze sklepu płytowego Monster Melodies za rogiem. Niezwykle gorące podziękowania należą się dziennikarzowi i radiowcowi Christianowi Eudeline'owi za jego niestrudzone wyjaśnienia wszystkiego od historii francuskiej muzyki popularnej i kultury po historię Francji. I Giles'owi Verlantowi, autorowi 760-stronicowej, najlepszej francuskojęzycznej biografii *Gainsbourg* (opublikowanej przez wydawnictwo Albin Michel; z całego serca polecam ją każdemu, kto może się pochwalić dostateczną znajomością francuskiego), za jego niezłomne starania, by niniejsza książka zawierała jak najmniej błędów, *parce que Gainsbourg le mérite, et le public anglo-saxon aussi!*

Również wielu anglojęzycznych muzyków, którzy znali Serge'a, pracowali z nim, sampłowali, robili covery albo na których wpłynął, było tak miłych i udzieliło mi wywiadów. Tu z kolei wielkie podziękowania dla Marianne Faithfull, Sly'a Dunbara, Robbiego Shakespeare'a, Becka, Micka Harveya, Alana Hawkshawa, Nicka Curriego (Momusa), Boba Stanleya (St Etienne), Seana O'Hagana (z High Llamas), Steve'a Wynna i Davida Holmesa. A na koniec podziękowania dla magazynu „MOJO” za potoczenie *la boule*, dla Seana Body'ego i Helter Skelter za podjęcie gry i kontynuację, i dla Nicka Kenta, Freda Dellara, Sue Smith, Martina Cobba, Petera Silvertona i Neila Adamsa za ich nieocenioną pomoc i wsparcie.

Jeśli chodzi o Serge'a, przykro mi tylko, że przybyłam za późno, żeby dodać go do listy swoich rozmówców. Trudno wymarzyć sobie

bardziej fascynującego bohatera biografii – nieśmiały ekstrawertyk, surrealistyczny realista, ikonoklasta, który chciał stać się ikoną, człowiek, który pił z policjantami, oglądał z Dalim pornole, kochał się z kilkoma najpiękniejszymi aktorkami świata (przy czym żadnej z nich nie pokazał się nago) i umarł sam, we własnym łóżku, kończąc życie pełne wręcz heroicznego, a przynajmniej bezdyskusyjnie artystycznego, samookaleczania. Że zacytuję jego epitafium z francuskiej gazety „Liberation”: Serge wypił za dużo papierosów.

Niemniej jednak, jeśli wierzyć napisowi na murze rue de Verneuil nr 5: „Serge żyje. Jest w niebie i dyma”. A krótko po jego śmierci francuski magazyn satyryczny „La Grosse Bertha” przedstawił go na okładce, jak z zarośniętym podbródkiem i niedbałym uśmiechem stoi okrakiem na chmurze nad Matką Boską, która na czworakach błogo wypina ku niemu pośladki. „Ej, Mario – rzecze w dymku ten rysunkowy Serge. – Mógłbym napisać dla ciebie parę niezgorszych piosenek”.

Czy wyobrażacie sobie, żeby Brytyjczycy potraktowali tak swojego Johna Lennona? Wznoszę kielich, zamiast toastu nucąc francuski hymn państwowi: *Allons enfants de la Patrie, le jour de gloire est arrivé!*

Tytuły piosenek, albumów, filmów itd. pojawiają się w brzmieniu oryginalnym: francuskim, angielskim, frangielskim czy też jakimś języku wymyślonym przez Gainsbourga. Cytaty przetłumaczono z francuskiego; ich oryginalna wersja znajduje się w dziale źródłowym na końcu książki.



R O Z D Z I A Ł 1

Lulu

Serge Gainsbourg zawdzięczał życie brudowi. To brud właśnie, dość dosłownie, przyszedł mu na ratunek w letnie gorące popołudnie roku 1927, kiedy Olga Ginsburg zapukała do drzwi obskurnego budynku na Pigalle'u, w paryskiej dzielnicy czerwonych latarni. Brzemienneą trzydziestodwuletnią żydowską emigrantkę z Rosji, żonę muzyka, matkę małej dziewczynki, wprowadzono do prowizorycznej kliniki aborcyjnej. Szybko otaksowała wzrokiem pomieszczenie – zlew, stołek, na środku stół, na nim narzędzia – a gdy dostrzegła połyskującą w świetle słonecznym niewielką miszkę, jeszcze mokrą i pełną niezidentyfikowanej brei po poprzedniczce, obróciła się na pięcie i uciekła. „Zawsze powtarzał, że jego jedyny łut szczęścia w życiu to brudna nerka” – wspominała Jane Birkin.

Minęło prawie dziesięć lat od chwili, gdy Olga Besman i Josif Ginsburg pobrali się na Ukrainie. Elegancki młodzieniec, zdolny pianista – zdobywca pierwszej nagrody w konserwatorium – został zatrudniony przez rodziców Olgi; miał dawać lekcje ósemce ich dzieci. Josif był wrażliwy i romantyczny, łączył w sobie słowiański sentymentalizm i dramatyczną żydowską melancholię. Olgę cechowały cięty dowcip i pragmatyzm; śpiewała pięknym mezzosopranem. On się zakochał od pierwszego wejrzenia, starał się o nią, podczas gdy

Serge Gainsbourg przed wejściem do klubu Carnaby, Paryż, luty 1968.

Fot. Odile Montserrat

dokoła szalała bolszewicka rewolucja. Kiedy kolejny raz ledwie uszli z życiem – on musiał się ukrywać przed żołnierzami, niczym dziadek bohatera *Blaszanego bębenka*, pod ogromniastą spódnicą wieśniaczki – postanowili uciec. Posługując się fałszywymi dokumentami, przedostali się do Gruzji, gdzie wsiedli na statek płynący przez Morze Czarne do Konstantynopola i dalej przez Morze Śródziemne do Marsylii. Zatrzymali się dopiero w Paryżu. Wcześniej przeniósł się tam starszy brat Olgi i wielu innych rodaków. Josif znalazł dorywczą pracę jako muzyk i po kilku przeprowadzkach rodzina – bo stali się rodziną w chwili narodzin syna Marcela w roku 1922 – zainstalowała się w mieszkanku przy rue de Chine 35.

Dzielnica dwudziesta, do dziś jedna z biedniejszych części stolicy, w trzeciej dekadzie ubiegłego wieku była okolicą zaniedbaną, niemal wiejską. Dzieci bawiły się tu na ulicach, straganiarze handlowali najrozmaitszym towarem. Na pewno nie była to dzielnica żydowska. Żydzi, wygnani z Rosji raczej przez pogromy niż rewolucję komunistyczną, osiedlali się głównie w *quartiers* nieopodal placu Republiki, Porte de Saint-Cloud oraz Hôtel de Ville. Ale Josif był liberalnym Żydem, wolnomyslicielem, a kiedy już otrzymali obywatelstwo, postanowił, że Ginsburgowie pozostaną całym sercem i bezgranicznie oddani Francji.

I tak sobie żyli – poza nieszczęsnym małym Marcelem, który umarł na bronchit w wieku szesnastu miesięcy. Urodziło się im drugie dziecko, Jacqueline, która była już półtorarocznym zdrowym maluchem, gdy drugiego kwietnia 1928 roku Olga w szpitalu Hôtel Dieu nad Sekwaną zaczęła rodzić, zgodnie z przewidywaniami, bliźnięta.

„Jak wyszło pierwsze dziecko, Liliane, Olga zaczęła krzyczeć – opowiadała Jane – bo pomyślała, że będzie mamą trzech dziewczynek. A chwilę później wyskoczył nie kto inny, jak Serge, na którego punkcie mama natychmiast oczywiście dostała kota”. Dali mu

na imię – „żeby był bardzo francuski oraz *intégré*” – Lucien, a nazywali – ku jego wielkiemu rozgoryczeniu – Lulu.

Na zdjęciach widnieje maleńkie dziecko z czarnymi włoskami przypominającymi kod kreskowy i ciemnymi, sennymi, przymkniętymi oczami. Miniatura ojca, ciągle nieobecnego, bo nocami występował w paryskich kinach i klubach, a za dnia grywał na pianinie domowym, które było dumą rodziny. Lulu i Liliane naprawdę nie mieli wyboru, musieli chłonać muzykę, która ich otaczała jak powietrze. A był to niezły zestaw: dzieła najświeższe takich autorów, jak Amerykanin w Paryżu Cole Porter i amerykański rosyjsko-żydowski George Gershwin (Josif grał z pamięci *Błękitną rapsodię*), jak również klasyka – Bach, Scarlatti, Vivaldi. Ponad życie zaś Josif kochał Chopina. Lulu chłonał to wszystko i próbował grać na pianinie, sam, jeszcze zanim Josif narzucił bliźniętom, kiedy tylko skończyły cztery lata, te same obowiązkowe lekcje, które musiała znosić ich starsza siostra. Lekcje kontynuowano, gdy dzieci poszły do szkoły – godzinę dziennie od razu po powrocie do domu, przed odrabianiem prac domowych.

Josif był surowym ojcem, wspominał później Serge, i zwoleńnikiem raczej ostrej dyscypliny, co równoważyło oczywistego szmergla Olgi na punkcie synka. („Mama mnie uwielbia, ubóstwia” – powiedział francuskiemu magazynowi „Actuel”)¹. Kiedy Lulu zachowywał się niewłaściwie, dostawał od Josifa pasem na gołą pupę; ojciec zawsze potem przeproszał, głośno i z emfazą, niezdolny znieść myśli, że chłopiec uzna go za okrutnika. To jedna z nielicznych cech, które Lucien odziedziczył po ojcu wraz z talentem muzycznym i w ogóle talentem do sztuki. Ale Lucien się nie buntował: był grzecznym chłopcem i podobnie jak Jacqueline bardzo bystrym, dobrym uczniem. Uwielbiał szkołę, chociaż był nieśmiały i bojaźliwy, nieduży jak na swój wiek. Nie poszedł spać, dopóki starsza siostra nie zajrzała

za zasłony, żeby sprawdzić, czy aby nikt się tam nie chowa. Czasem brano go za dziewczynkę.

Dochody Josifa stale rosły, co umożliwiło w połowie lat trzydziestych przeprowadzkę do większego mieszkania na rue Caulaincourt w dzielnicy osiemnastej. Teraz mieszkali o rzut kamieniem od mekki przemysłu muzycznego SACEM (Société Des Auteurs, Compositeurs et Editeurs de Musique – Stowarzyszenia Pisarzy, Kompozytorów i Wydawców Muzyki) i zaledwie dziesięć minut piechotą z *marché de musiciens* (targu muzyków) na Pigalle’u. Codziennie około piątej czy szóstej po południu Josif dołączał do innych muzyków, którzy zbierali się tam w nadziei, że zostaną najęci na wieczór – podobnie w Los Angeles meksykańscy robotnicy zbierają się rano o określonej godzinie w poszukiwaniu dorywczej pracy. Poprawa warunków życia pozwoliła też Josifowi i jego żonie realizować swoją miłość do Sztuki. (Sztuka, pisał Josif w pamiętnikach, dla niego zaczynała się od wielkiego S). Jeszcze w Rosji, zanim został muzykiem, Josif zamierzał poświęcić się malarstwu. Tworzył nieustannie, aż do brzemiennego w skutki dnia, kiedy podczas podróży koleją transsyberyjską ukradziono mu portret dziewczyny, w której się niegdyś platonicznie kochał. Z wielkim dramatyzmem, iście po słowiańsku poprzysiągł, że nigdy już nie tknie pędzla, i słowa dotrzymał. Chodził natomiast wraz z żoną na każdą możliwą wystawę, na ścianach ich mieszkania wisiały obrazy i rozpierała ich duma z rodzących się zdolności artystycznych syna.

Muzyk, artysta, inteligent – jedyny brakujący element dzielący Luciena Ginsburga od Serge’a Gainsbourga to dziewczyny. Ale spokojnie, już niedługo. Latem 1936 roku rodzina przebywała na wakacjach nad morzem. Lucien miał osiem lat. Bawił się w piasku, nucąc do muzyki dochodzącej z megafonów – rozpoznał w niej utwór Charles’a Treneta, którego żywiołowe piosenki *variété* (na przykład

Boum znane kinomanom z filmu *Toto bohater – Toto le heros*) były przed drugą wojną światową bardzo popularne – gdy nagle podniósł wzrok i zobaczył idącą plażą śliczną dziewczynę. Połączenie dziewczęcej urody, ciepła słońca przebijającego się przez morską bryzę i muzyki okazało się dla chłopca mieszkanką zgoła wybuchową. W tym dokładnie momencie – tak później twierdził – przyswoił sobie smak kobiecego piękna, które pozostało w nim wypalone, nierozdzielnie połączone ze zmysłowością, obrazem i dźwiękiem muzyki. Tę nadmorską lekcję estetyki uzupełniał przez najbliższe lata, zwłaszcza że Josip Ginsburg występował w coraz bardziej ekskluzywnych ośrodkach wypoczynkowych takich jak Deauville i Biarritz. Lucien, zetknąwszy się z luksusem, przekonał się, w jaki sposób bogactwo może kształtować gust.

Miał bezpieczne, zorganizowane dzieciństwo – niezwykle jak na rodzinę emigrantów, której głową był muzyk – i jak często powtarzał Jane, szczęśliwie. „Kiedy przyjechałam do Paryża robić swój pierwszy film i poznałam Serge’a, zabierał mnie w te wszystkie niewiarygodne miejsca na Pigalle’u, gdzie mężczyźni przebierają się za kobiety, i mówił: «Tutaj kiedyś grał mój ojciec». I zawsze dodawał, że pierwszego stycznia odbywała się w domu wielka *fête*, bo w sylwestra ojciec grał po spelunkach do trzeciej nad ranem i wracał – w cudownym nastroju, z kieszeniami pełnymi napiwków – w papierowym kapeluszu, z konfetti i z gwizdkami, a dzieci się wtedy budziły”.

Już od kilku lat Josif kierował własnym zespołem, Les Blue Star Boys. Ale niebawem główną rolę w życiu Ginsburgów zaczęła odgrywać żółta gwiazda.

Kiedy we wrześniu 1939 roku Francja wypowiedziała wojnę Niemcom, Lucien tego właściwie nie zauważył. Miał jedenaście lat, rodzina wcześniej już przeprowadziła się z Paryża do kurortu Dinar

na wybrzeżu Bretanii, gdzie Josif pracował przez dłuższy czas. Dla Lulu były to jedne wielkie wakacje – nie tak może ekscytujące jak półroczny pobyt w Algierii, dokąd ojciec wyjechał z żoną i dziećmi – ale Dinard miało nad Algierią przewagę w postaci wielkiego ogniska i pokazu sztucznych ogni. Bo tak właśnie zrozumiał Lucien widok wojsk brytyjskich podpalających nadbrzeżne zbiorniki z paliwem. Po powrocie do Paryża następnego lata Ginsburgowie stwierdzili, że wszystko zmieniło się diametralnie. Miasto zajęli Niemcy. Zapanaował oficjalnie usankcjonowany przez rząd antysemityzm. Wprowadzono obowiązkową rejestrację Żydów. Pragmatyczna Olga nie chciała się zarejestrować, ale Josif nalegał: skoro teraz są Francuzami – bo uważał się za Francuza pomimo silnego rosyjskiego akcentu oraz upodobania do barszczu i wódki – powinni respektować prawo nowej ojczyzny. W społeczności żydowskiej krążyły pogłoski o zaginięciach. Żydom coraz trudniej było zdobyć pracę – zwłaszcza w bardziej rzucających się w oczy dziedzinach, takich jak dziennikarstwo, sztuka, teatr – jako że na mieście pojawiły się napisy na murach oskarżające ich o podkradanie posad Francuzom. Ginsburgowie nie żyli w środowisku żydowskim, nie prowadzili koszernego domu ani nie chodzili do synagogi. Przynajmniej przez jakiś czas Josif wierzył, że nic im nie grozi. Na pewno życie rodziny upływało względnie normalnie. Josifowi wciąż płacono za grę na pianinie w Cabane Cubaine i zarabiał tyle, że mógł zapisać syna do szkoły artystycznej na Montmartrze.

W pierwszym roku nauki Lulu przypadkowo rozniecił w sobie zainteresowanie zupełnie inną dziedziną. Jako trzynastolatek nie mógł jeszcze uczęszczać na lekcje rysowania aktów, ale pewnego dnia, mijając otwarte drzwi, zobaczył rozbierającą się modelkę. Z ukrycia wpatrywał się z otwartymi ustami w jej striptiz, jak to sobie nazwał. Był absolutnie oszołomiony. „Pomyślałem, że coś się stało tej dziewczynie, tylko nie wiem co” – wyznał Bayonowi, francuskiemu dzien-

nikarzowi, autorowi książki *Mort ou vices*² z dwoma wyjątkowymi wywiadami na temat seksu i śmierci. O seksie Lulu nie miał wówczas pojęcia. Ojciec go nie uświadomił. W sprawach intymnych najbliższym był temat, kiedy udzielono mu instrukcji, jak celować przy sikaniu, mocno chwytając *zizi*. Kiedy Josif przyłapał syna na wykorzystywaniu tej techniki do innego celu, wspomaganego zdjęciami kobiet w szmatławym ówczesnym magazynie dla mężczyzn, „Paris-Hollywood”, po prostu kazał mu natychmiast przestać, nie wyjaśniając dlaczego.

Szczęście, że Josif nie powiedział synowi, że od walenia konia się choruje, bo niedługo później Lulu dopadła tajemnicza choroba, przez którą zamienił się w chodzący szkielet. Wyglądało na to, że dołączy do brata, aż znany francuski pediatra – Olga zrobiłaby wszystko dla ukochanego synka – orzekł, że jedyną nadzieją na powrót chłopca do zdrowia jest wyjazd z Paryża i kuracja na wsi. Problematiczne zalecenie, skoro najnowsze antysemickie rozporządzenia zakazywały Żydom podróżowania pociągami (choć w Paryżu ostatni wagon każdego składu metra uważano za przeznaczony wyłącznie dla nich) i opuszczania miasta. Jakoś jednak Ginsburgowie sobie poradzili i urządzili tymczasowy dom na farmie w Courgenard – bez Josifa, który został w Paryżu, by zarabiać na utrzymanie rodziny.

Lulu dochodził do siebie, a Paryż miał się coraz gorzej. W 1942 roku władze zarządziły, że wszyscy Żydzi powyżej szóstego roku życia muszą nosić żółtą gwiazdę – wielkości dłoni, z wypisanym czarnymi literami wyrazem *Juif* – wyraźnie widoczną na okryciu wierzchnim. „Ojciec kazał im prasować te gwiazdy, aby francuskie władze widziały, że są czyste i bez zarzutu – opowiada Jane. – Serge mawiał, że nosząc żydowską gwiazdę, czuł się jak szeryf i że wyrósł pod dobrą gwiazdą, żółtą”. Później mógł sobie z niej żartować, ale tak naprawdę raniła ona nastolatka do żywego. „Nigdy tego nie

zapomnę – powiedział w wywiadzie ponad trzydzieści lat później. – Młody chłopak noszący gwiazdę – zupełnie jakbyś był bykiem z wypalonym piętmem”³. To było poniżenie; znak dla wszystkich, żeby zobaczyli, że należysz do bezsilnych, oficjalnie pogardzanych, coraz bardziej oczernianych w prasie, że można cię bezkarnie atakować. „Już kiedy miałem trzynaście, czternaście lat, stałem się outsiderem, ponieważ wszystkie rzeczy dla twardzieli nie były dla mnie”. Uciekł w zadymiony, fantastyczny świat literatury i tanich papierosów (jako młodzik był już mocno uzależniony od P4 – francuskiego odpowiednika playersów No 6). „Uciekałem, czytając wspaniałych powieściopisarzy, Perraulta, Grimmów, Andersena i Hoffmana”.

We wspomnieniach Serge’a z lat odznaki szeryfa Francuzi byli gorsi od Niemców. W każdym razie, rozważał, *les Boches** wykonywali tylko rozkazy. Pamiętał taki dzień w Akademii Sztuki – w tym azylu zdrowego rozsądku w rozpętanym dokoła szaleństwie – kiedy rysował, siedząc tuż obok niemieckiego oficera. Pomimo żółtej gwiazdy nie zaznał z jego strony żadnych przykrości. Wręcz przeciwnie, wyczuwał między nimi jakąś więź koleżeństwa, dopóki nie opuścili budynku szkoły i tamten nie przybrał na powrót pozy niemieckiego oficera. Opowiadał też z goryczą, jak jego ojca zaczęli traktować niektórzy koledzy z orkiestry, mówiąc mu: „«Ty, słuchaj, nie masz prawa grać w tej orkiestrze – jesteś Żydem, zjeżdżaj». Chcieli po prostu zająć jego miejsce”⁴. W końcu im się udało. Kiedy Żydów zaczęła obowiązywać godzina policyjna od dwudziestej, Josif nie mógł pracować w klubie nocnym. W desperacji on i inni żydowscy muzycy postanowili nielegalnie przedostać się do wolnej strefy na południowym zachodzie.

* *Les Boches* (fr.) – pejoratywne określenie Niemców [wszystkie przypisy oznaczające gwiazdką pochodzą od tłumacza].

Po długiej i pełnej niebezpieczeństw podróży Josif dotarł do Limoges. Zaczął pracować z pięcioosobowym zespołem i przez przyjaciół wysyłał rodzinie pieniądze. Niemal przez półtora roku żyli z dala od siebie, aż pewnego dnia nadeszła przesyłka z fałszywymi dokumentami. Nosili teraz nazwisko Guimbard, mieli wsiąść do pociągu jak każda gojowska francuska rodzina i dołączyć do Josifa w jego mieszkaniu na rue des Combes w centrum Limoges.

Pomimo lęku, że zostaną złapani, Olga cieszyła się na wyjazd z Paryża. Braki w zaopatrzeniu stały się tak dokuczliwe, że nieraz chowała gwiazdę i wsiadała do pociągu jadącego na wieś, by zdobyć żywność dla dzieci. Kiedyś o włos uniknęła aresztowania. „Przypinała gwiazdę małąkami szpilkami, a kiedy pociągała nitkę pod płaszczem, wszystkie szpilki wypadały, ona zaś mogła chodzić do opery – mówi Jane – bo tak w ogóle to Żydzi w operze bywać nie mogli. Tę metodę stosowała, kiedy wyjeżdżała kupić jedzenie, aż złapał ją francuski policjant i powiedział: «Jeszcze raz cię spotkam, to pójdziesz prosto do pociągu»”. Brat Olgi – dla dzieci wujek Michel – poszedł do pociągu, trafił do Auschwitz i tam zginął. Deportacje były coraz częstsze i obejmowały coraz większą liczbę ludzi. Jacqueline raz cudem uniknęła wywózki.

Podróż na południowy zachód przebiegła całkiem spokojnie. Nastąpiło gorące powitanie i znowu rodzina przystosowała się do tymczasowego nowego domu. Ale nawet w Limoges musieli bardzo uważać, co robią i z kim rozmawiają. Pewnego dnia w mieszkaniu pojawiło się gestapo i chciało ich wylegitymować. Świadoma, że fałszywe dokumenty nie przejdą takiej próby, Olga wsunęła je pod ceratę na kuchennym stole i siadła na nich, udając, że nic się nie dzieje, i zachęcając gestapowców do przeszukania mieszkania.

Po pewnym czasie Jacqueline oznajmiła, że chce przystąpić do Résistance, co nie poprawiło rodzinie nastroju. „Matkę to przeraziło

– mówi Jane. – Jakby mało zagrożeń czyhało na nią z racji żydowskiego pochodzenia, teraz się bała, że Jacqueline zakocha się w kimś z Résistance i przypadnie – była już w odpowiednim wieku. Ale szybko ukróćili jej zapędy”. Jacqueline i Liliane wysłano do szkoły przyklasztornej, a Lulu trafił do niewielkiej szkoły dwadzieścia kilometrów od Limoges.

Pewnego dnia dyrektor placówki dowiedział się, że wojsko jedzie do nich na kontrolę. Dał Lucienowi siekierę, kazał się ukryć w lesie i pouczył, że gdyby ktoś go znalazł, ma udawać, że jest synem leśniczego. „Mówił, że to było szalenie ekscytujące, jakby się bawił w Robin Hooda – wspomina Jane. – I że ukrywał się w tym lesie przez tydzień, a ja sobie wyobrażałam, jak on tam siedzi, a dzieci przynoszą mu koszyczki z prowiantem, udając, że idą na piknik. Ale potem Jacqueline mi zdradziła, że on w tym lesie ukrywał się przez jedną noc. Serge idealizował wiele rzeczy”.

Cóż, jak wie każdy biograf, prawda to pojęcie względne, zwłaszcza w wypadku gwiazd. Coś tam się zapomni, coś lepiej zapomnieć – wychowani na bajkach artyści robią to najlepiej ze wszystkich. Choćby autor się starał ze wszystkich sił, choćby podejmował najbardziej mozolną pracę śledczą, by uzyskać w pełni wiarygodny portret, jego wysiłki mogą spełznąć na niczym.

W roku 1944 Miasto Światła zostało wyzwolone, a Ginsburgowie wrócili do domu, starając się wpasować w swoje poprzednie życie. Szesnastoletni Lucien podjął naukę w dawnym liceum, ale okazało się, że wszystko się diametralnie zmieniło. Złe stopnie. Złe nastawienie. Stał się samotnikiem. Czuł, że nie należy już do systemu. W podstawówce dostał medal dla najlepszego ucznia w klasie. Z dumą go obnosił po ulicach. W liceum był równie dobry, ale dali mu żółtą gwiazdę, przez którą mógł trafić do obozu koncentracyjnego.

Minęło trzydzieści lat, zanim w *Rock Around the Bunker* powrócił do epoki odznaki szeryfa. Jego nastawienie do tego czasu zmieniło się. Nie było już bolesne i pełne cierpienia, stało się złośliwe, skatologiczne i uszczypliwie ironiczne. Piosenki o Hitlerze, Ewie Braun i oddziałach szturmowych osadzone w amerykańskim rock'n'rollu lat pięćdziesiątych – cudownie młodzieńcze – oznaczały powrót do epoki, kiedy nosił żółtą gwiazdę. Ale te żarty równoważyła czarna okładka, na której skreślił autoportret. „Nie potrafię zapomnieć – powiedział – że powinienem był umrzeć w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym, drugim, trzecim albo czwartym roku”⁵.

Ale przeżył: wojnę, gruźlicę, niedoszlą aborcję. Życie było zbyt niebezpieczne i zbyt krótkie, żeby je marnować na szkołę. Więc rzucił ją tuż przed egzaminami końcowymi (później mówił, że go wylano za złe zachowanie). Rodzinie oznajmił, że zostanie artystą.

Prorok współczesnego popu.

Najbrzydsza i najbardziej rozwiąta
ikona francuskiej piosenki.

Legenda inspirująca kolejne pokolenia twórców.

Z najpiękniejszymi kobietami za rękę szedł przez życie
usłane kwiatami jak jego grób. Brodząc w morzu alkoholu,
z głową w chmurach kopconych bez przerwy gitane'ów.



PATRONAT



MALEMEN

www.marginesy.com.pl



cena 39,90 zł